ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 45 7. XI. 1936

w numerze:



Po sukcesie w komedji „Japoński rower" Lili Zielińska została zaproszona do wystąpienia w tej sztuce na sześciu scenach.

ŚWIAT
REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXI. Nr. 45
7. XI. 1936

L. CHRZANOWSKI.

POTRZEBA KONTROLI

Proces radomski został zakończony.

Surowy, ale słuszny wyrok spadł na przestępców.

W swem oskarżeniu prokurator słusznie zaznaczył, że straty moralne, jakie przestępstwa radomskie sprawiły, wielokrotnie przewyższały straty materjalne i sumy zdefraudowane.

Wyrok, skazujący szefa bandy Krzysztoforskiego na piętnaście lat więzienia, jest ciężki, ale spełni on niewątpliwie zbawczą rolę przykładu w tak bezprzykładnych przestępstwach, jak przestępstwo radomskich urzędników skarbowych.

Liczne rzesze obywateli i podatników surowością tego wyroku są pokrzepione. Namacalny dowód wzięcia w obronę grosza podatników przed defraudantami, nawet zajmującymi wysokie stanowiska, został złożony przez sędziów radomskich.



Ale proces radomski nie kończy się na wyroku.

Jak doniosły depesze w związku z panamą Krzysztoforskiego wykryto nadużycia w urzędach skarbowych w Kozienicach i Opatowie. Dyrektor izby skarbowej w Kielcach p. Woydat zawiesił w urzędowaniu obu naczelników urzędów skarbowych w tych miastach dr. Kamionkę i Salę, a kierownika działu egzekucyjnego urzędu w Opatowie Łysika aresztowano z polecenia prokuratora.

Niemal w tymże dniu co Krzysztoforskiego — sąd apelacyjny skazał b. starostę działdowskiego, Twardowskiego, na dwa lata więzienia, a jego wspólnoskarżonego Leśniaka na 6 miesięcy z zawieszeniem. Decyzje te są nietylko znamienne, świadczą one dobitnie, że proces radomski nie skończył się na wyroku. Świadczą one, że wzmógł on czujność, że obudził może nieco drzemiącą kontrolę.

Czyż szef szajki i główny defraudant Krzysztoforski, sprawca wielokrotnych łez, a nawet ruiny podatników, nie przyznał cynicznie w czasie procesu, że „gdyby kontrola była inna, to nie dziś, ale już parę lat temu siedziałbym na ławie oskarżonych". Tak jest. Kontrola szwankowała. O usprawnienie i bezwzględność kontroli woła dziś społeczeństwo wielkim głosem. Czyż w czasie procesu nie wykryto, że Krzysztoforski już poprzednio, zanim przyszedł do Radomia, popełniał nadużycia na poprzednich stanowiskach!

Wzmożenie kontroli to rzecz niezbędna!

Domaga się tego szary obywatel, domaga się tego interes państwa. Ale kontrola jest dwojaka. Kontrola nad sposobem sprawowania funkcji urzędniczych i władzy. Kontrola przy przyjmowaniu na służbę państwową. Gdzie były, jak sprawdzały kwalifikacje wydziały personalne niektórych urzędów, skoro tacy Krzysztoforscy i Salwy, z taką ujawnioną na procesie przeszłością znaleźli się wśród urzędników państwowych? Pierwsze sito — referat personalny — winien więcej wiedzieć, więcej mówić i mniej patrzeć na... legitymowanie się protekcją, a więcej na kompetencję i walory moralne. Wówczas, gdy kontrola przed przyjęciem do szeregów urzędniczych i w czasie pełnienia władzy będzie solidniejsza, oparta li tylko na kryterjach wartości urzędniczej, wówczas spełni ona rolę swą bezwzględnie i bolesne, na szczęście, odosobnione wypadki à la Radom, à la Działdowo, Kozienice, czy Opatów nie będą nas okrywać wspólnym rumieńcem. Bo obywatel-podatnik też się wstydzi, gdy zdarzają się urzędnicy, co kradną.



Scena z II-go aktu

DZWONY KORNEWILSKIE W OPERZE WARSZAWSKIEJ



Obok p. Michałowski

Poniżej pp. Kaupe i Petecki

Poniżej p. Bestani





NAJPIĘKNIĘJSZE CMENTARZE ŚWIATA

Jest jeden dzień w życiu, gdy pochylamy się nad naszą przeszłością. Gdy pochylamy się bardzo realnie i gdy stykamy się z nią niemal namacalnie.

Ten dzień, to dzień zaduszny.

Inaczej zwany świętem umarłych.

Święto umarłych? *Nie.* Raczej jest to święto żywych!

Bo świętem żywych jest nawiązanie *tak* ścisłego kontaktu z bliskimi nam, najbliższymi, *którzy odeszli,* żeby w pamięci swej wskrzesić ich kształty, głos, nasze ukochania i naszą tęsknotę.

A to się dzieje właśnie w tym dniu jedynym, w tym dniu powszechnie na całym świecie poświęconym zbliżeniu się żywych ze zmarłymi. Powszechność tego obyczaju, powszechność tego zbliżenia nadała mu charakter odświętny, nabożny. — Czyż nie jest radością, tak silne wniknięcie pamięcią w przeszłość, aby zwyciężyć czas, zwyciężyć materję, co nas dzieli i czuć się tuż, tak blisko *tych* co odeszli.

Więc świętem żywych jest ten dzień *poświęcony* zmarłym.

Schylamy się nad mogiłą, kwiaty się sypią z naszych rąk, a wargi szepczą słowa, którym się nie chce wierzyć: „To chyba wczoraj, głos twój słyszę, widzę cię" — szepce ktoś nad samotną mogiłą. „Trzydzieści jeden lat, trzydzieści jeden lat" — dobiega mnie szept od innego grobu — „trzydzieści lat bez ciebie, to niemożliwe" — szepce kobieca czarna postać pochylona boleśnie.

I odżywają w tych szeptach tęsknoty *ci wszyscy,* co odeszli. *Ci,* co na najuboższych i na najpiękniejszych cmentarzach świata spoczęli. Ci, co mają grobowce na wspaniałym Père Lachaise w Paryżu i na tajemniczem Verano w Rzymie i na Powązkach Warszawy i na przedziwnem Campo Santo w Pizie i na cichym, polskim wiejskim cmentarzu, gdzie białe brzozy cały rok nad nimi płaczą i na genueńskim cmentarzu w Staglieno, za jeden z najpiękniejszych powszechnie uznanym.

Wszędzie wrósł w duszę ludzką ten obyczaj, by w dniu drugiego listopada szli żywi długiemi, długiemi szeregami, by odwiedzić zmarłych.

Poprzez gwarne ulice Rzymu mkną autobusy, tramwaje i auta i jadą charakterystyczne carozelle, niedobitki - dorożki rzymskie. Wszystko różnem tempem kieruje się na Verano. Jeszcze przed cmentarzem wita nas aleja cyprysów. Stoją wysmukłe, strzeliste, tajemnicze. Wchodzimy przez wielką marmurową bramę. Przed nią placyk wysypany żwirem. Środkiem szeroka, wspaniała aleja szerokości najmniej 30 metrów, biegnie przez cały cmentarz, aż do końca — drzewa mirtowe i tuje przy krawężnikach podkreślają szerokość i długość alei. Dalej w perspektywie, aż pod murem, znów cyprysy. Zresztą cyprysy są i wewnątrz cmentarza, obramowują kwatery, gdzieniegdzie tworzą skupiny. W dzień swą strzelistością są jakby akt wiary, o zmierzchu kryje się w nich jakaś tajemnica, sekret odwieczny.

Groby na Verano są niemal wszystkie kamienne, marmurowe przeważają. Rozplanowanie staranne, nowoczesne, niemal parkowe, stwarza piękno symetryczne, zasobne. Wieczorem, gdy na wszystkich grobach zapalą się tysiące elektrycznych lampek, gdy zapach złożonych kwiatów paruje wraz z mgłą tego nieco wilgotnego cmentarza, gdy odniechcenia szumią cyprysy, jakby porozumiewając się z kimś niewidocznym, to welon dziwnego mistycyzmu otula Verano.

Na cmentarzu w Verano lepiej niż gdzieindziej uwydatnia się piękny obyczaj włoski praktykowany wszędzie. Wychodzący z cmentarza w momencie, gdy zbliżają się do wyjścia, zatrzymują się. Zwracają się twarzą do cmentarza. Kobiety często klękają i żegnają się, mężczyźni pochylają się, skłaniając odkrytą głowę.

Żywi żegnają zmarłych.

Żegnają cały cmentarz, wszystkich; żegnają dom, który opuszczają, *dom* do którego przyszli w odwiedziny. W tym ostatnim pokłonie — pożegnaniu mieści się specjalna tkliwość, wyrazista powaga — dowód łączności.

Ten pokłon żywych jest tem widoczniejszy we Włoszech, że niemal zawsze cmentarze włoskie mają jedną, centralną, okazałą lub nawet wspaniałą bramę.

Zupełnie odmienny od Verano, jest cmentarz w Genui, owe słynne Campo Santo w Staglieno. Piękno tego cmentarza stanowi jego położenie. O pół godziny jazdy od Genui, jazdy wąwozem szerokim wśród gór, leży na zboczu, niemal amfiteatralnie. Poza tem pięknem położeniem jednak, jest to cmentarz przeładowany okazałemi grobowcami bogatego patrycjatu genueńskiego. Są tam wspaniałe pomniki, ale są i naturalizmem wypaczone grobowce. Pomniki takie, jak dwoje olbrzymich dzieci, trzymających się za ręce i stojących na poziomie przechodnia; jak łoże z chorym pacjentem na grobie lekarza; jak katedra medjolańska w minjaturze kilkumetrowej wysokości — świadczą o bogactwie rodzin, co sobie takie grobowce wzniosły, ale nie świadczą o ich dobrym guście.

Kiedy po tym przeładowanym, bogatym cmentarzu genueńskim znajdziemy się nagle na Campo Santo w Pizie, to milkniemy odruchowo i w pieśń pobożną się przeistaczamy.

Maleńki cmentarz. Zamarły cmentarz Średniowiecza. Jest to jakby cichy dziedziniec otoczony portykiem o 62 arkadach. Mury te pokryte są freskami. Wiele z nich, niestety, uległo zniszczeniu, ale to, co pozostało, to jeszcze są rzeczy niezwykłe.

Kompozycję tego Campo Santo wykonał Giovani Pisano. Cmentarz ten rozpoczęty w 1278 roku, ukończony został w początku XV-go wieku. Stał się on pizańskim Panteonem. Wewnątrz, w dziedzińcu, dziś pokrytym piękną szmaragdową trawą znajduje się ziemia, którą pizańskie fregaty przywiozły z Jerozolimy. Dziś na tym niezwykłym trawniku rosną na krańcach tylko dwa cyprysy — a po rogach krzewy niskopiennych róż. Wrażenie tego cichego, zamarłego cmentarza jest niezwykłe. Pod portykami wspaniałe sarkofagi i freski malarzy toskańskich, ze scenami ze starego testamentu pędzla Benozzo Gozzoli i ze słynnym sądem ostatecznym Andrea Orcagna na czele — a pośrodku skromna, cicha płaszczyzna zielonej trawy z dwoma cyprysami i kilkunastu krzakami białych róż! Przedziwny kontrast prostoty i ciszy z wspaniałością i bogactwem dzieł sztuki, rzeźb i fresków! Dostojeństwo i prostota te-

go średniowiecznego cmentarza przejmują jakimś nieokreślonym urokiem, tworząc zeń sanktuarjum przedziwne.

Poprzez plac Republiki, poprzez ulice zgiełkliwe, nerwowe, dygoczące współczesnym pośpiechem a nawet gwałtem, przenikamy do murów paryskiego Père Lachaise.

Olbrzymi cmentarz paryski robi wrażenie głównie swym rozmiarem. Ilość pięknych, stylowych grobowców ginie w natłoczeniu nagrobków. Piękne, rozłożyste drzewa przy głównych alejach, to naturalne ornamenty wielu cmentarzy.

Na Père Lachaise znajdujemy fragmenty piękne, ale rozległość tego cmentarza i wielka rozpiętość społeczna posiadaczy grobów na tym cmentarzu paryskim sprawia, że niema on charakteru jednolitego, ani jakiegoś specjalnego wyrazu.

Kiedy wchodzimy na Powązki, pierwszym naszym wrażeniem jest obfitość zieleni. Zieleni, która stanowi największy urok i piękną oprawę warszawskiego cmentarza. Zieleni, którą niebacznie w chwilowym, na szczęście, pomyśle chciano niedawno „dla porządku" trzebić. Zieleni, która zmienia się w okresie pogodnego dnia Zaduszek w złoto różnych odcieni. Złote i czerwonawe klony, hebanowe i żółte kasztany na tle tuj, świerków i jodeł stanowią przepiękne naturalne uzupełnienie tego morza kwiatów, zaścielającego nagrobki bogate i skromne mogiły.

Na Powązkach spotykamy piękne grobowce. Są wykute w dostojnym czarnym granicie, są w skromnym polskim piaskowcu. Ale nie wspaniałe pomniki stanowią o pięknie tego cmentarza. Mieści się ono w harmonji, jaka panuje na nim, właśnie między, powszechnie biorąc, skromnością nagrobków i w melancholijnem pięknie drzew i krzewów, tak zrośniętych z polskim, mazowieckim krajobrazem.

Ta harmonja i cisza, panująca na warszawskim cmentarzu, tworzą zeń nietylko miejsce ostatniego schronienia, ale i zakątek skupienia dla żywych.

A kiedy z tych wspaniałych cmentarzy z nad morza Śródziemnego, Arna, Sekwany, Tybru czy Wisły wnikniemy w ciszę małego, polskiego, wiejskiego cmentarza, to jakże inne, jak bardziej wzruszające obejmuje nas uczucie. Niski murek, mogiły i mogiłki pokryte zblakłą trawą, proste wieńce z gałązek sosnowych, czasem krzyż z mchu siwego przystrojony jarzębiną, gdzieniegdzie krzyż kamienny, ale przeważają białe brzozowe, lub siwe z pociemniałego drzewa sosnowego. Wysmukłe, białe brzozy kołyszą warkoczami gałązek, na których to tu, to tam złoci się, jak ostatnia łza, garstka zamarłych liści. Małe szare wróble, trznadle lub wyelegantowane szczygły ciekawie zaglądają w oczy przybyłym kobietom wiejskim, dzieciakom dumnie niosącym wianuszek, lub papierową girlandę — ostatni wykwint sztuki zdobniczej.

Czasem ktoś westchnie, rzadko ktoś załka — wiatr szumi i cicho płyną odmawiane pacierze.

Melancholja i spokój obejmują nas łagodnie — *jesteśmy u siebie.*

Tu niema dramatu śmierci, tu jest „ucieczka grzesznych" zdeterminowana pewność, że tak być musi. Nieco pogańska świadomość, że „oni" nas widzą. W tej ciszy przerywanej pacierzem, w poszumie drzew, prostocie, a nawet ubóstwie otoczenia budzi się prymitywny, łagodny spokój i nabożność, budzi się jakby zazdrość, że ci, co odeszli mają już wieczną ciszę i spokój.

Bo czy to na wiejskim polskim cmentarzu, czy na wiejskim cmentarzu włoskim pod Rzymem, w szumie białej brzozy, czy wysmukłego cyprysa, w ciszy, która je otacza, najsilniej, najściślej zespala się melancholja i tęsknota żywych po tej i tamtej stronie mogiły.



POŁÓW PEREŁ



Intymne stosunki

Mamy na myśli stosunki szarego obywatela z jego Urzędem Skarbowym. Wiemy wszyscy z własnego doświadczenia, że przed okiem naszego urzędu nic się nie ukryje. Ani futro kupione dla żony. Ani jakaś już dawno zapomniana bibka. Ani wyjazd zagranicę dla poratowania zdrowia.

Teraz jednak urząd chce o nas wiedzieć jeszcze o wiele więcej: chce być dokładnie poinformowany... o naszem zdrowiu. Powstał bowiem — dość dziwny — projekt rządowy zobowiązania wszystkich lekarzy do ujawniania Urzędowi Skarbowemu nazwisk pacjentów. W jakim celu — trudno dociec. Bo ktoby zechciał skarb oszukać, jakośby sobie z tem zapewne poradził. A lekarze, jako wyjątkowo etyczna kategorja obywateli, napewno i dotąd nadużyć w tej mierze nie popełniali.

Przeczytawszy tę wiadomość, człowiek zdrowy niewiele się nią wzruszy.

Ale ten, kto się dużo leczy. —

Ten, kto z konieczności odwiedza wielu lekarzy specjalistów.—

Ten oczami wyobraźni już asystuje przy scenach iście dantejskich.

Władza, w chwili gdy płatnik będzie osiągał szczyty elokwencji, wyznając wszystkie grzechy, jak na spowiedzi — władza nagle zmieni temat.

Do słynnej śpiewaczki szepnie: „A jakże tam pani droga z tym garniturem zębów, który tak drogo policzył ten szelma dentysta X?“...

Do czarującego amanta filmowego: „Czy kuracja u doktora Y. zdołała przynajmniej powstrzymać tę pana haniebną łysinę?“

Do wielkiego poety: „Hemoroidy ciągle jeszcze trapią szanownego mistrza?“.

Do znakomitego męża stanu: „No i co z tą reakcją Wassermana? Wciąż jeszcze dodatnia?“

Do czarującej młodej panny „na wydaniu“: „A te liszaje nad prawem kolankiem nadal dokuczają szanownej pani?“

Do kabaretowego komika: „Doktór X. niby już panu usunął te kamienie wątrobiane, a pan mimo to bez humoru“...

Powiecie: „No to będzie bardzo miło! Tak intymnie! Całkiem, jak w rodzinie.

Gdzietam, proszę państwa. O wiele intymniej. Może nawet cokolwiek — za intymnie?

„Asy czystej rasy“

Pewien dziennikarz łotewski opublikował list otwarty, adresowany do apostoła ideologji rasistowskiej, Alfreda Rosenberga. O czystości rasy owego Rosenberga słyszało się już tu i owdzie słowa powątpiewania. Nietaktowny łotysz przyniósł wiązkę efektownych a niemiłych rewelacyj, popartych dokumentami. Okazuje się, że pan Rosenberg, apologeta rasy nordyckiej, odmawiający wszystkim innym odmianom ludzi prawa do porównywania się z niemcami — pan Rosenberg *nie ma w swych żyłach kropli krwi niemieckiej!*

Dziadek jego, urodzony w Rydze, był *łotyszem.* Matka jego była z pochodzenia *francuską.* Babka jego dziadka, Sala Rosenberg, była *żydówką,* a ojciec jego babki po mieczu — był mongołem i niewolnikiem.

„Dziękuję — dosyć“ — mawiał nasz surowy, ale uprzejmy profesor matematyki,gdy mu uczeń zaserwował za wiele horrendów naraz.

Po tej i tamtej stronie Renu

Samochód prezydenta Francji od czasu pamiętnego zamachu marsylskiego na króla Aleksandra — nie posiada już stopni. Aby utrudnić działanie ewentualnym naśladowcom zabójcy.

Ale od czasu rządów Bluma samochód prezydenta Francji otrzymał nowe udoskonalenia. Oto prezydent jeździ teraz autem — *opancerzonem!* Przed każdą uroczystością, w której bierze udział najwyższy dostojnik Francji, odbywają się liczne próby i repetycje generalne, aby zgóry ustalić przebieg pochodu, uniknąć zamieszania i nie dopuścić do zahaczeń, któreby mogły mieć katastrofalne następstwa.

„To wszystko — pisze paryski „Gringoire“ — *odbywa się u nas wtedy, gdy Hitler, stojąc w otwartym samochodzie, przejeżdża wolno wśród niezliczonych tłumów“.*

Właśnie nas, licznych Polaków, którzy nie kochamy Hitlera — a kochamy Francję — to zestawienie musi uderzyć, jak groźne memento.

Brak kontroli

Jak donosi prasa codzienna, trzech komorników stołecznych zawieszono w czynnościach za nadużycia. „Braki“ w ich kancelarjach wynoszą 50 tysięcy złotych. W związku z tem zupełnie słusznie zarządzono ogólną lustrację ksiąg u wszystkich komorników warszawskich. Jesteśmy pewni, że znakomita ich większość będzie w porządku — ale kontrola — i to stała kontrola — powinna być nie represją za popełnione nadużycia, ale stałym systemem, *uniemożliwiającym te nadużycia.*

Cynicznie to przecież wyznał sądowi złodziej Krzysztoforski — ex-dygnitarz, ex-naczelnik urzędu skarbowego w Radomiu, pan i władca życia i śmierci a także ruiny nieszczęsnych, zależnych od niego podatników. Na zapytanie sędziego, jakim cudem możliwe było popełnianie tak olbrzymich defraudacyj bez zwrócenia uwagi władz wyższych — bezczelny defraudant publicznego grosza odparł najspokojniej: „No, gdyby była kontrola — to przecież siedziałbym tutaj na ławie oskarżonych nie dziś, ale już przed kilku laty“...

Uparty nurek.



Wanda Rothert, utalentowana malarka polska, w swej pracowni w Paryżu.

PRZED OBJEKTYWEM „ŚWIATA"

Z HISZPAŃSKIEJ WOJNY DOMOWEJ



Ofensywa wojsk narodowych hiszpańskich na Madryt przybiera na sile. Oto odjazd z Vigo nowych oddziałów ochotniczych, entuzjastycznie żegnanych przez ludność.

NAJWIĘKSZA BECZKA NA ŚWIECIE

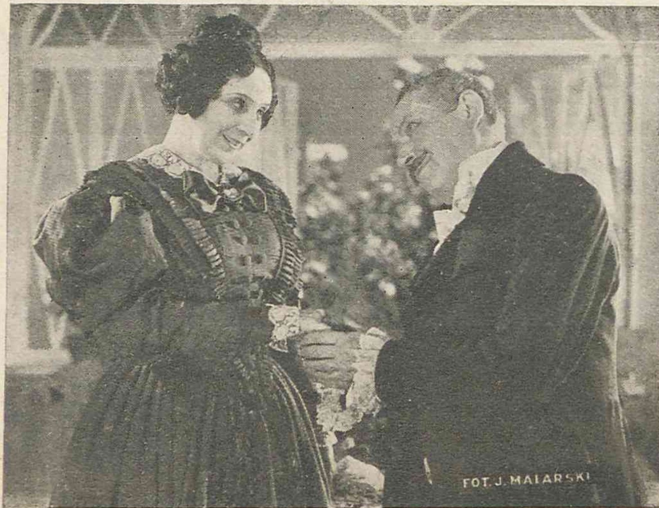


W jednem z miasteczek Nadrenji pomysłowy restaurator wybudował winiarnię w kształcie beczki. Jest to oczywiście największa beczka na świecie. Lokal i jego zawartość cieszą się niebywałem powodzeniem.

AKROBACJA NA DRAPACZU CHMUR



Baletnica Emily von Lo[illegible]en wyczynia, jak widzimy, swoje karkołomne hopki z równą swobodą na szczycie drapacza chmur w Nowym Jorku, jak gdyby znajdowała się na zwykłej estradzie.



pp. Sulima i Stanisławski

TEATR NARODOWY: „Śluby Panieńskie", komedja w pięciu aktach Al. Fredry. Reżyserja St. Stanisławski. Dekoracje S. Jarocki.

Teatr Narodowy wznowił „Śluby Panieńskie" Al. hr. Fredrego. Patrząc na to przedstawienie możemy powiedzieć z ulgą: nareszcie. Dawno nie widzieliśmy Fredry. Od chwili, kiedy Solski objął dyrekcję teatru Narodowego uzupełnia się powstałe luki. Luki, których żadnemu teatrowi dbającemu o ciągłość narodowej i artystycznej twórczości mieć nie wolno. Repertuar fredrowski, to nietylko kultywowanie tej twórczej ciągłości, to również techniczne i artystyczne utrzymanie stylu gry, wypowiadania się aktorskiego. Ten „klasycyzm" polski objął Fredrę w znacznej mierze dlatego, że aby go grać aktor musi umieć mówić. I to nietylko mówić, cyzelując dykcję, ale również musi mówić wierszem. Połączenie tych dwóch umiejętności jest niezbędne licznym zastępom artystów młodszego pokolenia. Obie te umiejętności wymagają nawet fizycznie specjalnego wygimnastykowania niektórych muskułów, których sprawność decyduje o czystości, potoczystości i szybkości dykcji.



pp. Barszczewska i Leszczyński

Wystawianie więc sztuk fredrowskich jest niezbędne nietylko dla publiczności, ale i dla artystów samych. Nie można się dziwić, że młode kandydatki na Klasy i Aniele mają wiele trudności do pokonania, skoro tych kreacji nie mają ani w oczach, ani we krwi.

Muszą one zaczynać niemal od początku. Trzeba więc ze sporą dozą wyrozumiałości przystępować do oceny tych wysiłków. Tymbardziej, jeśli jak można sądzić z premjery na ostatnim wznowieniu „Ślubów" ciążył grzech zbyt pośpiesznego przygotowania. „Żelazny kapitał" fredrowski Gustaw — Leszczyński i Radost — Stanisławski tak zrośli się ze swymi rolami, że mogą je grać „na wyrywki", przez sen. Ale ci inni, młodsi i z krynoliną i z wierszem i stylem fredrowskim muszą się zżyć duchowo. Nie wyskakuje się łatwo z krótkiej sukienki i djalogu moderne, aby przyoblec krynolinę i finezyjny liryzm fredrowski. Liryzm dziś tak nam daleki i naiwny.



pp. Świerczewska i Wesołowski

Nic dziwnego, że panie Barszczewska i Świerczewska na premjerze nie mogły dać więcej niż staranność i dobre aparycje. Pani Świerczewska miała gadanie znacznie trudniejsze, przecież walczy ona z tak wytrawnym Gustawem jak Leszczyński, któremu wiersz płynie lub zwija się jak rapier błyskotliwy w zwarciu. Który nim tak operuje, że *nie słyszymy wierszy*. To jest właśnie ta siła i ciągłość. Ale Leszczyński należy do pokolenia, dla którego źle mówić Fredrę to był aktorski dyshonor. Dziś wskutek braku klasycznego repertuaru powodzenie w Fredrze traktowane jest najwyżej jako uwieńczenie zwycięskiego wysiłku. Nic więc dziwnego, że mieliśmy jakby dwie metody, dwa poziomy gry. Jeden to była para Leszczyński — Stanisławski, drugi Barszczewska, Świerczewska, Wesołowski. Po środku stała p. Julima, stylowa Dobrójska, jej grę zawsze cechuje zrozumienie epoki i inteligencja.

L.

KULTURA W NORYMBERDZE I GDZIEINDZIEJ

Z okazji uroczystego zjazdu partyjnego w Norymberdze usłyszeliśmy jeszcze raz z ust samego Hitlera i jego najbliższych współpracowników, że kultura niemiecka dzięki rządom narodowo - socjalistycznym znajduje się w najwyższym rozkwicie. Wiadomo, że wszystko, co istniało przedtem w dziedzinie literatury, filmu i sztuki, to była istna dżungla. Wreszcie jednak udało się ją szczęśliwie przetrzebić, oczyścić z chwastów komunizmu i żydostwa, uzdrowić tchnieniem prawdziwej aryjskości i dopływem czystej germańskiej krwi. Samochwalstwo Führera może nigdy nie pieni się tak szumnie, jak wówczas, gdy chodzi o kulturę. Zapewne... Bezpieczniej sławić nasilenie sztuki i kultury, niż głosić światu rekordowe cyfry zbrojeń.

Prócz frazesów jednak nie przyniosły mowy norymberskie żadnego rzeczowego w tej sprawie materjału, nie przytoczyły żadnych faktów, z którychby postęp kultury w trzeciej Rzeszy bił w oczy. O wysokiej atmosferze kulturalnej chce się dziś w Niemczech przekonać zarówno krajowca jak cudzoziemca, olśniewając go wspaniałością architektury i dekoracji, jaką otoczone zostało życie polityczne i jego tło. Narzuca się w ten sposób sugestję atmosfery, przesyconej wysokiemi wartościami piękna i sztuki. Wielkie fety partyjne, parady wojska, popisy sportowe odbywają się w ramach i formach nieraz istotnie bardzo artystycznych i nowych. Faktem jest, że teatralnością i przepychem, feerją światła, szafowaniem mas, plastyką ruchu, prześcignęły niemieckie boiska, stadjony i sale zgromadzeń ludowych wszystko, na co się kiedykolwiek zdobyły największe sceny świata. Przepędzony Reinhardt i wygnani reżyserzy filmowi niejeden tu może święcą zdala cichy tryumf. Dni Olimpjady i Norymbergi świadczą, że narodowy socjalizm zapragnął dla siebie takiej pompy, tak wielkiej magji artystycznej, jaka dotąd przysługiwała tylko kultom religijnym. I nic dziwnego. O nową religję i nową mistykę przecież chodzi. Nowe msze, nowe dreszcze trzeba dać tym, którym się odebrało kościół i jego artystyczne czarodziejstwo.

Ale jak wygląda sztuka i kultura poza cudotwórczym kręgiem areny politycznej? Czem jest dziś w Niemczech sztuka nie w chwilach wielkich popisów, lecz na codzień?

W zakresie *literatury* cenzura sprowadza stopniowe wyniszczenie. Na tegorocznym kongresie Penclubów w Buenos Aires Emil Ludwig stwierdził, że od dwóch lat ilość wydawanych w Niemczech książek spadła o 45%. Najlepsi niemieccy pisarze: Henryk Mann, Thomas Mann, Stefan Zweig, Remarque, Feuchtwanger i wielu innych są uznani za zdrajców i wygnani z kraju. Hitlerowcy pysznią się swą dzisiejszą twórczością literacką, ale tak się jakoś dziwnie składa, że wszyscy autorzy niemieccy o światowej sławie znaleźli się jako emigranci lub wygnańcy poza granicami Niemiec, a ci znowu, którzy przebywają w ojczyźnie, nie zdobyli sławy poza nią... Książki czytane w Niemczech, nie są pozatem czytane nigdzie.

Przypomnijmy sobie prócz tego, jak to pewnego dnia zabawiono się w Trzeciej Rzeszy w spalenie na stosie pewnych utworów literatury niemieckiej ze wszystkich epok. Od tej pory większość dzieł Goethego nie jest czytywana w szkołach. Przyszłego badacza kultury zastanowi też nowe wydanie śpiewnika niemieckiego, w którym najpopularniejsza w kraju piosenka Heinego „Ich weiss nicht was soll es bedeuten“ zaopatrzona została uwagą „Autor nieznany“.

A cóż się dzieje na polu filmu, w udzielnem królestwie Goebbelsa?

Ciekawe wiadomości wyczytać można na ten temat w „Dodatku handlowym“ „Frankfurter Zeitung“ z dnia 27 września w artykule p. t. „Kryzys gospodarki filmowej“.

Pozornie panuje w tej dziedzinie wspaniała konjunktura. Zamiast 238 miljonów widzów, jak w r. 1932-33 było w r. 1935-36 nie mniej jak 317 miljonów. Wpływy podniosły się jednocześnie ze 176 do 237 miljonów mk. Mimo to i chociaż jednocześnie zmniejszono podatek od przedsiębiorstw filmowych o 10 do 12 miljonów marek — panuje w produkcji filmowej płacz i zgrzytanie zębów. Wspomniana gazeta przypisuje winę takiego stanu rzeczy naturalnie żydom, którzy przez swe mściwe machinacje nie dopuszczają filmów niemieckich do rynków zagranicznych. Naprawdę jednak jest tak, że od czasu, gdy Goebbels stanął na czele niemieckiej produkcji filmowej, obrazy stały się przeważnie nie do użytku dla zagranicy, mają bowiem najczęściej propagandowy charakter i nadają się tylko do wyświetlania w kraju. Skutek jest taki, że „gdy jeszcze w r. 1932-33 eksport pokrywał 40% kosztów produkcji, to dziś wynosi on nie więcej jak zaledwie 12%“.

Ale brak eksportu nie jest jedyną przyczyną filmowego kryzysu. Jeszcze bardziej przyczyniło się tu kolosalne podrożenie produkcji, sięgające przynajmniej 70%. Gdy przed rokiem 1932 przeciętny film kosztował 220.000 do 250.000 mk., to koszta jego dziś sięgają sumy 650.000, która zwraca się dopiero, gdy obraz zdobędzie sobie 3 miljony widzów. Tym razem naprawdę żydzi są winni. Bo po wypędzeniu wielu zdolnych scenarjopisów, reżyserów i aktorów, którzy nie mogli się wykazać wszystkiemi przepisanemi babkami, ich aryjscy koledzy, uwolnieni od konkurencji zaczęli dyktować fantastyczne honorarja. Podług szczegółowego rachunku same płace aktorskie podniosły się w ciągu dwóch ostatnich lat o 220%.

W rezultacie przyniosła produkcja filmowa w sezonie 1935-36 deficyt 8 — 10 miljonów marek przy 50 miljonach kosztów inwestycyjnych, nie licząc subwencji 10 do 12 miljonów, które podarował filmowi niemieckiemu Goebbels.

Wiadomości te rzucają ciekawe światło na finansowe rezultaty działalności ministra propagandy w „totalnem“ państwie. Przecież w dziedzinie teatru, prasy i przemysłu wydawniczego musi się dziać podobnie! Ale czem są straty ekonomiczne wobec duchowego przyrostu prawdziwej narodowo-socjalistycznej kultury!

Świetny porządek panuje też w dziedzinie sztuki. Generalny inspektor Berlińskiego Muzeum z okazji otwarcia wystawy zabytków staroniemieckich powiedział:

„Trzy i pół roku narodowego socjalizmu były na punkcie nabywania zabytków korzystniejsze, niż całe ostatnie stulecie". Zdarzają się jednak i drobne niedociągnięcia. O jednem z nich donosi opozycyjny tygodnik „Das Neue Tagebuch".

Oto w regjonalnem muzeum miasta Bonn zauważono, że brak rzeczy najważniejszej — portretu Hitlera. Uposażenie muzeum jest skąpe. Nie było środków na zakupienie odpowiednio reprezentacyjnego portretu wodza. Wobec tego postanowiono spieniężyć coś z eksponatów muzealnych, naturalnie coś, bez czego możnaby się obejść, a zato zafundować sobie czemprędzej niezbędny portret.

Muzeum w Bonn posiada zbiory Wesendocka, jedną z owych wspaniałych nadreńskich kolekcyj, gromadzonych latami przez jednego z wybitnych znawców i miłośników sztuki i wreszcie ofiarowaną miastu rodzinnemu. Zbiory owe były tak wielkie, że z powodu braku miejsca część ich nie była nigdy wystawiona w muzeum i znajdowała się w magazynach. Dwaj dyrektorzy muzeum, obaj mężowie zaufania partji, postanowili przejrzeć te zbiory i wybrać z nich coś, czego ewentualnie możnaby się pozbyć. Na wszelki wypadek wezwali jeszcze z Berlina słynnego eksperta, który już nieraz oddawał fachowe usługi hitlerowcom w „oczyszczonych" przez nich muzeach.

Otóż panowie ci zakwalifikowali do sprzedaży dwa bezwartościowe dzieła: „Junonę", która została sprzedana za 900 mk. jako kopja pochodząca od jednego z uczniów Rembrandta, oraz jakiś obraz uznany za kopję podług Belliniego. Ponieważ obraz uważano za kopję współczesną, więc uzyskano zań 2.500 mk.

„Junona" dostała się do Holandji. Tu prześwietlono ją lampą kwarcową i oto któryś z najwiarygodniejszych znawców sztuki rozpoznał w niej prawdziwego Rembrandta, jedno z najpiękniejszych i najdojrzalszych dzieł mistrza. — Jakto — zawahał się znawca — ale Junona Rembrandta jest przecież w Bonn?

Jako stary fachowiec wiedział on lepiej od obecnych dyrektorów w Bonn, co się znajduje w ich muzeum.

Obraz jest obecnie w Holandji do nabycia, żądają zań 350.000 guldenów (a było to jeszcze przed dewaluacją). Drugi obraz, domniemana kopja podług Belliniego okazał się głównem dziełem Belliniego. Znajduje się on już w posiadaniu jednego z wielkich handlarzy sztuki, który go kupił za wysoką cenę, a obecnie żąda zań pół miljona.

Historja ta wymownie świadczy o tem, że nowi dyrektorowie muzeum w Trzeciej Rzeszy, mianowani na miejsce tych, których zdyskwalifikowano za nabywanie dla muzeów dzieł Kokoschki, Hofera i innych „bolszewickich" artystów znają się wprawdzie dobrze na programie partji, ale zato gorzej na sztuce...

Jak widzimy, drogo kosztował muzeum w Bonn portret Hitlera.

Zdaje się, że we wszystkich dziedzinach sztuki naród niemiecki też drogo płaci za „kulturę" Trzeciej Rzeszy.

S. B.

BAJECZKI

PIERŚCIEŃ POLIKRATESA

Dwoje zakochanych przechadzało się pewnej księżycowej nocy w gęstym lesie. Dziewczę opierało głowę na ramieniu młodzieńca. Oboje byli szczęśliwi i wzruszeni.

Aliści księżyc spozierał na nich zgóry, śmiejąc się szyderczo i urągliwie.

— Patrz jak księżyc się śmieje — rzekła wkońcu dziewczyna.

Młodzieniec podniósł wzrok ku górze.

— Rzeczywiście — powiedział i zamyślił się. — Z czego on się tak śmieje?

— Nie wiem, — odparło dziewczę, — ale nie po raz pierwszy widzę ten bezwstydny uśmiech na jego wargach. Ilekroć przechadzam się po tym lesie zawsze w ten sposób się śmieje.

— Jeśli tak, to już wiem z czego się śmieje — odezwał się młodzieniec smętnie.

— Śmieje się ze mnie!

ZAKOCHANI I KSIĘŻYC

Król Polikrates miał niezwykłe szczęście.

— To się może źle skończyć! — pomyślał pewnego razu i żeby przejednać zawistnych bogów, rzucił z balkonu swego pałacu swój najpiękniejszy i najdrogocenniejszy pierścień do morza.

Po dwóch godzinach zjawił się w kuchni królewskiej rybak, niosąc ogromną rybę złowioną przed chwilą. Kucharz królewski rozpruł rybę i — o dziwo! — znalazł w jej wnętrzu pierścień królewski.

— Zaiste, to jest niewiarogodne wprost szczęście — wykrzyknął kucharz uradowany.

I schował pierścień do swojej kieszeni.

POPULARNOŚĆ

Żył ongiś pewien młody poeta, który miał kochankę nad wyraz piękną.

Młody poeta marzył, jak wszyscy poeci o sławie i nieśmiertelności.

Pewnego upalnego popołudnia napisał piękny poemat, pełen natchnienia poetyckiego.

— Ten poemat — mówił wieczorem do swej kochanki — powinien uczynić mnie sławnym i popularnym. Ach, gdybym wiedział tylko, gdzie mam go ogłosić, aby każdy go mógł przeczytać.

Wtem stuknął się w czoło. Przyszedł mu bowiem do głowy genjalny pomysł.

Pięknie i starannie wypisał swój poemat na różowej aksamitnej skórze swej kochanki.

Po tygodniu całe miasto znało na pamięć piękny utwór młodego poety, a w niespełna miesiąc deklamowano go już w całym kraju.

Przełożył *M. Gł.*

OBRAZKI Z ANGLJI

Każdy kraj po swojemu obchodzi dożynki. W Anglji przynosi się, jak widzimy poniżej, do poblogosławienia w kościele zarówno zebrane snopy zboża, jak upieczone chleby, strucle i bułki. Parafianie znoszą tego dnia liczne i różnorodne dary proboszczów — nasze zdjęcie ukazuje go dźwigającego tylko co otrzymany odbiornik radjowy.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO PLONÓW



DYPLOMACJA I MUZYKA



Poważna i dostojna siedziba premiera angielskiego, pałac przy Downing Street w Londynie, stała się w tych dniach terenem pięknej manifestacji artystycznej. Lady Baldwin, małżonka premiera Anglji, zorganizowała w swych salonach koncert, w którym wzięły udział panie z najwyższych sfer towarzyskich Londynu i z dyplomacji. W strojach z 16 wieku odśpiewały one madrygały i stanze z epoki Elżbietańskiej. Zdjęcie nasze przedstawia wykonawców koncertu na tle pięknego pałacowego wnętrza z tej samej epoki.

CZUŁE POŻEGNANIE



Odjeżdżających do Palestyny żołnierzy angielskich żegnano na stacji w Londynie czule i gorąco

WSKRZESZONA PRZESZŁOŚĆ



Anglicy uwielbiają dwie rzeczy: własną tradycję i... przebieranie się. Zorganizowany niedawno konkurs na najpiękniejszy ekwipaż staroświecki cieszył się olbrzymiem powodzeniem. I nagrodę otrzymała piękna dama w stylowej krynolinie z XVIII wieku — oraz jej kawaler i odpowiednia z epoki karoca.

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

Kazimierz zamknął książkę i zasunął powieki. Czytał *Almayer's Folly* Conrada. Myślał, że przyjemnie odpocznie po całodziennej pracy. Ale losy bohatera nie mogły go zająć.

Ray szaleje. Każe mu co dzień pisać długie raporty o nastrojach przedkongresowych po różnych poselstwach. Wieczory trzeba spędzać pomiędzy ludźmi i w zręcznych rozmowach wyciągać z ludzi co się da i czego się nie da, a potem cały dzień pisanina.

Na co się to zdało!

Ba, gdybyż można było pisać, co się o tem myśli!

Napisałby wówczas, że kongres będzie żałosną groteską, że choć wszyscy będą przemawiali po francusku lub po angielsku, ale nikt nikogo nie będzie rozumiał, bo nikt nie powie Prawdy, a nie powie jej dlatego, że jej nie zna. Że dopóki państwami będą rządzili ludzie nie znający praw, według których odbywa się postęp ludzkości, to państwa tak będą wyglądały jak most zaplanowany przez inżyniera, który nie znał prawa ciążenia, że zakłamany bezład ustrojowy jednych państw nie może się łączyć z bezładnem zakłamaniem innych. Że dokąd interes złota stawia się wyżej od interesów ludzkości, dotąd będą rewolucje, że upatrzony na przewodniczącego kongresu tryk jest nieukiem, który, od czasu gdy przed trzydziestu laty zdał egzamin dyplomowy, nie przeczytał ani jednej książki i nie mógłby odpowiedzieć rozsądnie ani na jedno pytanie socjologa, dlaczego tak myśli i postępuje a nie inaczej, że — jednym słowem, na kongres szkoda czasu i pieniędzy.

Otrzymałby za to dymisję.

Czy to nie byłoby jednak lepiej?

Co on tu właściwie robi na tem stanowisku!

Przebiegał myślą swoje życie.

Ścisła konsekwencja. Wszystko co się działo i co się stało, musiało przyjść. Gdy miał lat szesnaście i przeczytał manifest komunistyczny Marxa i Engelsa, stał się jednego dnia rewolucjonistą. Porwał go potem program PPS, wszedł w kółka młodzieży. Już wówczas rodzina, z tradycjami ziemiańskiemi, miała go za pomylonego odszczepieńca!

W Paryżu, na uniwersytecie jeszcze, należał do radykalnej lewicy. Nie czuł się jednak w tem środowisku ani swobodnie ani szczęśliwie. Mieli go tu za wypadkowego zwolennika radykalizmu, nie z rzetelnego przekonania, raczej z wykolejenia z kół prawicowych. Nie cierpiał zresztą rewolucji. W naturze swojej miał ład, porządek, prawo.

Gdy wybuchła wojna, miał lat 19. Stanął w szeregach bajończyków. Po różnych przejściach, przy końcu wojny znalazł się w Szwajcarii, gdzie go przeraziły kłótnie orientacyjne. Wszyscy chcieli wszystkich wieszać, bo każdy każdego pomawiał o zdradę sprawy narodowej i o wysługiwanie się obcym mocarstwom. Ale kto, co, gdzie, jak, kiedy, dlaczego, tego nikt nigdy nie wymieniał. Poco? Po prostu powiesić...

A potem wstąpił do Komitetu Narodowego, by wnieść tam trochę radykalizmu. Dawni towarzysze okrzyczeli go za zdrajcę. Nowi patrzyli na niego zezem, bo pchał ich do programu maksymalnego:— Gdańsk, Śląsk, Warmia, Mazury, część kolonii niemieckich...

— Analfabeta polityczny, wariat, szowinista, prowokator, smarkacz.

Gdy tylko wypadki pozwoliły, pierwszy wrócił do Warszawy i znalazł się w tłumie witających więźnia z Magdeburga.

I zaraz wstąpił do MSZ. Ale tu ci koledzy, którzy się wywodzili z Paryża, podsycali prasę narodową przeciwko niemu, a ci z Oleandrów — mieli go za endeka.

A to nie był żaden słoik z etykietą, tylko po prostu człowiek, który szukał prawdy i celu.

Więc odsunął się od tych i tamtych i dojrzewał. Pracował specjalnie nad zagadnieniami gospodarczemi i, gdy przyszła reforma walutowa, opublikował broszurę dowodzącą, że oparcie w Polsce waluty na złocie, to jest na towarze importowym, musi spowodować po pewnym czasie katastrofę deflacyjną i zupełne zatrzymanie rozwoju kraju.

Otrzymał za to dymisję. Ale i otrzymał nieoczekiwany sukurs z kół już zorganizowanych, które zaczęły metodyczną kampanię o panowanie rozumu, równowagi i sprawiedliwości. I odtąd posiadł fundament.

Gabinety zmieniały się szybko, jeden minister robił na złość drugiemu, następca poprzednikowi, Zim wrócił do MSZ.

Wytykano mu wtedy, że jest karierowiczem, że niema kręgosłupa, że zmienia przekonania...

Trupom, nie zmieniającym nigdy swoich poglądów, nawet nie odpowiadał. Ale cierpiał bardzo.

Nieraz myślał o porzuceniu dyplomacji. Zdawało mu się, że zrobi może więcej, gdy stanie do samodzielnej pracy politycznej wraz z garstką tych, którzy tak samo myśleli jak on.

Wahał się jeszcze, rozumiejąc, że tą drogą dojdzie do najniebezpieczniejszego momentu w życiu. Że praca ta wyniesie go, że da mu władzę, że władza przeistacza moralne życie człowieka, że władza jest tragicznym kompleksem funkcji, który opłaca ją i gubi.

I cofał się, mając jeszcze nadzieję na przeistoczenie ustroju inną drogą.

I oto znów miał w tej chwili moment takiego wahania się —

Telefon.

— Hallo!

— Tu major Bursa.

— Dzień dobry, raczej dobry wieczór.

— Co pan porabia, panie radco?

— Czytam książkę Conrada, do którego nie mam wcale żalu, że opuścił Polskę.

— Dlaczego?

— Bo w Polsce nie byłby się stał tym, czym się stał, a anglizując się oddał ojczyźnie olbrzymią usługę, — wprowadzając do umysłowości Anglików ducha polskiego, który wieje z jego dzieł, — a nawet wlał w nie styl polski...

— Zdaje się, że Conrad pisze najidealniejszą angielszczyzną...

— Tak, ale w stylu polskim. Żaden pisarz angielski nie pisze tak właśnie, jak on. Dlatego tak porwał anglosasów, że jest zupełnie inny...

— A ja jestem w okropnym nastroju i chciałem panu zaproponować, byśmy poszli gdzieś napić się albo co...

— Wie pan, panie majorze, że pijak ze mnie słaby bardzo, i nie chce mi się z domu wyłazić. Pogoda podła. Ale ja i w domu mam wilgoć dla gości wcale przedniego gatunku, pan major przecież próbował.

— No, dobrze, ale potem wyjdziemy, bo mnie „chandra" żre.

— Rozumiem. Więc czekam.

— No to ja tam zaraz będę.

Kazimierz rzucił słuchawkę.

Naprzód był nie kontent, że mu Bursa przerwał samotność, ale zaraz się ucieszył, bo pomyślał, że dobrze jest zestawić czasem myśli swoje z cudzemi, choćby tak niedojrzałemi, jak myśli majora.

Major pochodził z Kresów. Mając lat 16, podczas bojów na Wołyniu, przekradł się do Legionów. Wyrósł na pierwszorzędnego oficera, ale że był skończony leń, więc nie zrobił kariery. Pochodził z przyzwoitej rodziny, był gładki, znał obce języki, więc wydedukował sam, że będzie dobrym *attaché* w Kopenhadze. Nie sprzeciwiano się temu ani u góry ani u dołu.

— To naprawdę rozczulające. Wchodzisz, a tu i *whisky — soda* na stole. Gotowe.

— Pamięta pan, panie majorze, zaraz nazajutrz po moim tu przyjeździe, byliśmy w poselstwie francuskim. Pan mnie tam wprowadzał w świat. Pytałem pana o różne osoby, między innymi o śliczną blondynkę w seledynowym kolorze. Pan odpowiedział — „włoszka — ostrożnie". Pytałem — dlaczego? Obiecał pan odpowiedzieć później. I już nigdy się o tem nie zgadało. I teraz, nie wiem dlaczego, przyszła mi na myśl urocza Margarita Paolini. Czemu pan mi kazał być z nią ostrożnie? Takie niewinne stworzenie.

Major, siedząc przy nizkim stoliku, na którym stała pełna butelka *King George Rye Whisky* i syfon, patrzał uważnie na złotawy płyn, wlewany teraz do jego szklanki ręką Zima.

— Dość, dziękuję... To dawna historia.

— Czy już teraz nie trzeba ostrożnie?

— Już można —

— A co to było, jeżeli nie uchybiam dyskrecji.

Major zapalił papierosa. Po dłuższej pauzie stęknął:

— Wówczas — kochałem się w niej.

— Oooo, mam nadzieję, że z wzajemnością!

— Właśnie. Skoro już o tem mowa...

— Może panu przykrość sprawiłem. Przepraszam.

— Nie, miał pan prawo zapytać. Ot, zwykła rzecz. Nawet wolę, że panu powiem. Ulży mi. To mnie właśnie tak dręczy. Wysłałem prośbę, by mnie stąd zabrali.

— No, aż tak!

— Człowiek całe życie głupi. Strasznie mi się podobała. Miałem wrażenie, że ja jej też. Pan rozumie — szał...

— Rozumiem. To ładne, tylko że —

— Otóż to. Jak się zacznie wyciągać wnioski...

— Trudno jest mieć żonę cudzoziemkę.

— Prawda? A durnie myślą, że jest ludzkość A tymczasem człowiek nie może się zdobyć na ożenienie się z „Italianką". To wielki ciężar mieć żonę, której ciągle wszystko trzeba tłumaczyć od początku, która nigdy nie zrozumie dokładnie ani mnie, ani Polski, ani naszego życia parszywego.

— Chciał pan powiedzieć — ciekawego.

— Za ciekawe! Ciężkie. My jesteśmy jak ten właściciel tandetnej rudery, którą trzeba ciągle remontować, a która nigdy nie jest w dobrym stanie Jak dach nie przecieka, to grzyb pod podłogą, jak nie wilgoć, to pluskwy, jak i to się wytępi, to sąsiad ma zepsuty gramofon, i tak bez końca.

— To jest życie.

— Cholera psiakrew...

— A wie pan, że ja nigdy nie klnę.

— Muszę sobie ulżyć.

— Pogarsza pan swój nastrój duchowy. Goethe powiedział mądrze — „nie uwolnisz się nigdy od złych duchów, których wzywasz".

— Mam większe zmartwienie. Ja to przecierpię, ale ona gaśnie...

— Zerwał pan?

— Nie było nic do zrywania. Ale gdy tak zaczęło posuwać się naprzód, a widziałem, że nie możemy być szczęśliwi, to oczywiście — pan rozumie — kobieta ma wściekłą intuicję, czuła, że mnie pożerają refleksje —

— Bardzo wam współczuję...

— A jak pan się uchował?

— Dotąd się uchowałem, ale nie wiem, jak będzie dalej.

— Pan jest opanowany.

— Nic nie pomoże. Nie ujdzie się od losu.

— Czyżby wybór kobiety był losem?

— Przedewszystkim niema żadnego wyboru. Człowiek się kocha i żeni jak lunatyk.

— Jestem odważnym żołnierzem, a boję się nieszczęścia moralnego. I to tego — długotrwałego.

— Nie trzeba się koncentrować na tych sprawach. Ot, jedna z wielu. Są ważniejsze.

Major spojrzał z pode łba ironicznie:

— Dyplomacja.

— I to nie.

—Pan jest filozof — — —

— Są wielkie rzeczy. Wielkie zadania ma nasze pokolenie.

— Ale co my zrobimy?!

— Musimy naprzód wiedzieć, co mamy robić.

— Wie pan, że nieraz myślę o tem. Ale się gubię. Niby wszyscy pracujemy, wyścig pracy, programy, partje, walka, wybory, ten rządzi, tamten doły pod nim kopie... Ale to jakoś wszystko nie klapuje. To nie ma sensu. To jest beznadziejne. Konszachty dyplomatyczne wywołują podejrzliwość i zbrojenia, to powoduje wojnę, po wojnie musi być rewolucja, po rewolucji kryzys, po kryzysie przewrót ustrojowy, potem despotja, później znów rewolucja, wreszcie wojna i tak dalej do końca świata, czy nie lepiej odrazu się powiesić! Quo vadis! Gdzie jest Mojżesz!

— Był. Nowego nie potrzeba. Tylko że ludzie nie chcą się uczyć, ani pamiętać. Jeżeli pan teraz cierpi, ma pan zawód miłosny i odczuwa pan ból świata, to bardzo dobrze. Tylko niech pan z tego korzysta. Niech się panu dusza nie rozpuści, jak mydło w gorącej wodzie. Czy pan wierzy w Boga?

— Bo ja wiem.

— To znaczy, że pan żyje odruchami, a nie świadomośąią poznawczą.

Nastąpiło długie milczenie. Przerwał je Kazimierz.

— Czytuje pan książki?

— Od jakiegoś czasu — nie. A wogóle czytam co się zdarzy.

— Najgorszy system. Jeżeli pan chce dojść do równowagi, odzyskać pogodę ducha, zdobyć właściwy pogląd na rzeczy i przygotować się do rozsądnego życia, to ja mogę to panu ułatwić.

— Ciekawy jestem jak?

— Musimy naprzód mieć wspólny podkład do rozmów, wspólną atmosferę myślenia, dam panu więc z mojej bibljoteki kilka dzieł, które pan powinien sumiennie przemyśleć. Stanie pan wówczas na drodze do zrozumienia pewnych rzeczy, które panu w swoim czasie wyjawię.

— Może pan jest mason?

— Wprost przeciwnie.

— To już nie wiem.

— Pan, *jeszcze* nie wie.

Znów dłuższe milczenie. Przerwał je Bursa:

— Pan jest — człowiek zagadkowy.

Żadnej odpowiedzi.

— I silny, zdaje się.

Milczenie.

— W panu czuje się jakąś moc, której — szczerze panu powiem, trochę się obawiam.

Kazimierz uśmiechnął się, a myślą podziękował Bogu.

— Wie pan — ciągnął dalej Bursa, że rozmowa z panem uspakaja.

— Bardzo się cieszę.

— I już nawet nie mam ochoty nigdzie iść. Takbym gadał z panem, gawędził bez końca. My — kresowcy — mamy duszę otwartą.

— To niedobrze.

— To przecież szczerość.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ś. P. IGNACY DASZYŃSKI



Przed paru zaledwie dniami pisaliśmy o 70-ej rocznicy urodzin Ignacego Daszyńskiego. Nie przypuszczaliśmy wtedy, że tak szybko nadejdzie wieść o jego zgonie. Nestor i wódz socjalistów polskich zgasł po długiej chorobie w sanatorjum, gdzie od dłuższego czasu przebywał na kuracji.

Odszedł człowiek wielkich zasług nietylko dla polskich klas pracujących: człowiek ten położył również niespożyte zasługi dla Polski, dla jej wolności i odrodzenia. Jako członek parlamentu wiedeńskiego przed wojną, w czasach, gdy wyraz „Polska" nie widniał na żadnej mapie świata — znakomity mówca i parlamentarzysta już wtedy walczył o Polskę i o jej prawa. Jego nieustanną troską i zasługą było to, że Polska Partja Socjalistyczna nigdy nie zeszła na manowce międzynarodowości.

W Polsce odrodzonej był premjerem, wicepremjerem, posłem na Sejm i tego Sejmu Marszałkiem. Do końca swej działalności publicznej pozostał wierny swym ideałom — wolności i prawdziwej demokracji. W osobie Ignacego Daszyńskiego odchodzi jedna z najpiękniejszych i najszlachetniejszych postaci polskiego ruchu socjalistycznego.

Za przykładem Mahometa

Jakkolwiek Mahomet był niewątpliwie wielkim prorokiem, jednakowoż mimo wszelkie wysiłki — nie mógł zmusić góry, by podeszła do niego. Jako człowiek rozumny i natchniony, zrezygnował szybko ze swych ambicyj i sam zbliżył się do góry, osiągając cel, w ten prosty i niezawodny sposób.

W życiu zdarza się często, że wyczekujemy przyjścia owej przysłowiowej góry, wierząc, że przyjdzie ona do nas, bez żadnych starań z naszej strony. Zdaje nam się, że same dobre chęci wystarczyć powinny za uczynek. Najczęściej spotyka nas srogi zawód. Nic się samo przez się dziać nie chce, nic się w naszym położeniu nie zmienia.

Dopiero, gdy za przykładem Mahometa, wyzbędziemy się nieuzasadnionych nadziei, a zdobędziemy się natomiast na należytą energję w działaniu, możemy spodziewać się, że się coś odmieni, że wysiłki nasze przyniosą pożądane owoce.

Samo wyklinanie złych czasów i ubolewanie nad bezrobociem na nic by się nie przydało; złe czasy trwałyby dalej, a ludzie poszukiwaliby bezskutecznie sposobności zarobienia na kawałek chleba — góra stałaby w miejscu. I dlatego słusznie robią ci, co szukają sposobów zdobycia środków, które nie tylko ich samych pozbawią trosk i kłopotów, ale pozwolą na stworzenie nowych lub rozszerzenie istniejących warsztatów pracy, innymi słowy — sami, za przykładem Mahometa, podchodzą do góry.

Jednym z tych sposobów i bodaj, że najłatwiejszym, jest gra na Loterii Państwowej. Kto posiada los do drugiej klasy trzydziestej siódmej Loterii, ten może z nadzieją spoglądać w przyszłość, ufając, że i jemu szczęście dopisze.

Ciągnienie rozpocznie się 19-go b. m.

Ś. P. Ferdynand Ruszczyc



Zmarł artysta malarz miary niepowszedniej — piewca uroku ziemi wileńskiej, która go wydała. Znakomity pejażysta, profesor i dziekan Wydziału Sztuk Pięknych przy Uniwersytecie Wileńskim, zajął miejsce poczesne wśród malarzy polskich nietylko jako twórca, ale i jako wychowawca młodych pokoleń artystów. Ziemia wileńska, którą nadewszystko ukochał, była mu natchnieniem przez całe życie. Spędził wprawdzie szereg lat w Warszawie, jako profesor Szkoły Sztuk Pięknych, potem w Krakowie, jako profesor krajobrazu w Akademji — ale wkrótce powrócił do swej ziemi wileńskiej i jej czaru, który tak nieporównanie w swych dziełach uwiecznił. Zmarł w 66-ym roku życia w majątku rodzinnym Bohdanowie koło Lidy.

CZY PANI WIE, ŻE...

... rozmiękłe szczotki można wzmocnić. — Gdy po pewnym czasie używania, włos szczotek do zębów czy do paznogci, czy wreszcie jakichkolwiek innych, stanie się zbyt miękki, należy namoczyć szczotkę w amoniaku przez 10 minut, poczem położyć ją w ciepłym pokoju aby wyschła.

■

... gdy dziecko pani mówi: „nie chcę w mleczku kożuchów" — to właściwie ma rację. Te cienkie, ciągnące obrzydliwe płatki, które się tworzą na powierzchni mleka — wcale nie są apetyczne. To nie jest ten właściwy tłusty „kożuszek", który się po kilku godzinach ustoi np. na tłustej śmietance. Tego żadne dziecko nie odrzuci.

Zapyta pani — jak jednak uniknąć owych „kożuchów", których dziecko nie lubi. Bardzo łatwo: po zagotowaniu mleka nie wolno go zostawiać w otwartym rondlu ani filiżance: trzeba natychmiast przykryć pokrywką. Niech tak stoi do chwili wypicia. Kożuch — ten znienawidzony — wcale się wtedy nie utworzy.

■

... bardzo wytworna i niezwykle smaczna legumina z gruszek robi się tak: równej wielkości piękne kompotowe gruszki obrać w całości, pozostawiając ogonki. Wydrążyć środki wraz z pestkami. Tak przygotowane gruszki ugotować w syropie, jak na kompot, — ale nie rozgotować. Oddzielnie upiec okrągły placek z kruchego ciasta, na palec grubości. Poustawiać na nim symetrycznie gruszki, ogonkami w górę. Każdą gruszkę naszpikować gęsto migdałami słodkiemi, pokrajanemi w podłużne wązkie paseczki. Gruszki powinny stać od siebie w takiej odległości na cieście, aby każda miała z ciasta podstawkę przynajmniej wielkości zwykłego szklanego spodka. Wszystko to przygotowane trzymać w cieple, a w chwili podania na stół oblać gorącym sosem szodonowym. Dyplomaci obu półkul, którzy u mnie jedli tę leguminę, twierdzili, że jest to jedna z najsmaczniejszych rzeczy, jakie spotykali w swych doświadczeniach kulinarnych. „Nareszcie nie lody i nie „parfait" — wzdychali z ulgą — i każdy nabierał chętnie drugą porcję"...

■

... aby się podeszwy nie niszczyły, podano mi sposób stosowany podobno z doskonałym skutkiem w Paryżu. Gdy trzewiki są jeszcze nowe, uważać, kiedy podeszwy stracą pierwszy glans nowości. Wtedy dokładnie wyszczotkować skórę podeszew i napędzlować ją pędzelkiem, umoczonym w werniksie kopalnym. Zostawić w spokoju do zupełnego, dokładnego wyschnięcia. Niektórzy powtarzają ten zabieg trzy razy z rzędu. Podobno podeszwy nabierają takiej trwałości, że po roku są ciągle jeszcze jak nowe. Ponieważ dowiedziałam się o tem w tych dniach, a nie chcę kazać moim czytelniczkom czekać aż rok na moje osobiste doświadczenie — więc czemprędzej pospieszam z podaniem do wiadomości tego niekosztownego środka.

■

... żeby mieć „cerę brzoskwiniową" — trzeba krwi dostarczyć dużo żelaza. Niechaj pani przez czas jakiś jada takie pierwsze śniadanie: namoczyć jednakowe ilości suszonych moreli, suszonych śliwek i suszonych winogron. (Ilości nie określam — zależy ona od indywidualnego apetytu). Zalać wodą zimną wszystkie owoce, dołożyć łyżkę stołową miodu — i zostawić tak na całą dobę. Jadać naczczo na śniadanie. Chyba od tak smacznej potrawy nikt się nie uchyli?

■

...na danie wstępne, zamiast zupy, podaje się we Francji jajka w koszulkach na szwajcarskim serze. Wpuścić na wodę gotującą zaprawioną octem cztery jaja „w koszulkach". Oddzielnie, na półmiseczku ogniotrwałym — metalowym, kamiennym lub porcelanowym rozpuścić na wolnym ogniu 60 gram masła i tyleż sera szwajcarskiego tartego. Ułożyć jajka na tym podkładzie, posolić, opieprzyć i podawać gorące.

■

... dla piękności pani włosów konieczne jest jedzenie owoców i jarzyn nieobieranych. Jabłka, gruszki, ogórki, — trzeba jadać ze skórką. Kartofle — najlepiej pieczone w całości, „w mundurach". Bo właśnie w skórce zawarte są najcenniejsze składniki mineralne, które dadzą piękność pani włosom.

Dama Pikowa.



REWJA MODY



Z lewej wytworny kostjum przybrany lisami—kreacja „Villars". Kapelusz — „Maison Gustava". Z prawej: najmodniejsze futra sezonu— szare karakuły „Revell" — gmach Hotelu Europejskiego. Poniżej: „Jesienny liść" toaleta wieczorowa — „Goussin - Kamińska. Uczesanie J. Żłobecki.



Z prawej: Jedwabny kasak popołudniowy — „Goussin - Kamińska". Kapelusz „Maison Gustawa". Pantofle K. Filipczak. Poniżej: wytworna toaleta balowa, „Goussin-Kamińska".

Studjowanie żurnali mód coraz bardziej staje się anachronizmem dla nowoczesnej kobiety. Obecnie wytworna pani idzie wprost na rewję mody, gdzie o palmę pierwszeństwa walczą czołowe domy mód stolicy. Bogatą część programu ostatniej rewji mody wypełnił znany wśród dystyngowanej publiczności dom mód „Villars" (Marszałkowska 121).

Poczynając od efektownych płaszczy i kostjumów jesiennych, poprzez dystyngowane suknie wizytowe i popołudniowe, aż do przepięknych strojów wieczorowych — każda nowa kreacja „Villars'a" przyjmowana była oklaskami. Zwłaszcza przepiękne stylowe stroje à la Maria Stuart, wiernie odtworzone według współczesnych rycin, stanowiły istne arcydzieła. Na zdjęciu widzimy efektowny kostjum bogato przybrany, lisami, również kreacji „Villars".

Ustaloną sławę posiadają kapelusze firmy „Maison Gustawa" (Krucza 36). która zaprezentowała bogatą kolekcję jesienno-zimową w modnych fasonach i materjałach.

„S'il vous plait — proszę bardzo" — powiedziała pani Z. z wdziękiem prezentując umiejętnie upięty materjał z bogatej kolekcji domu modnych tkanin I. Cwejko (Bielańska 23). Te słowa dotyczyły właśnie materjału, noszącego tak zachęcającą nazwę. Pozatem podobały się ogólnie jedwabie Paillotte, velours Hyménée .Infragible oraz cudne jak zwykle jedwabie Ducharne'a (Paris). Tak modne obecnie lamy firmy I. Cwejko lansuje również na suknie popołudniowe.

„Pantofelki jak marzenie" — orzekła znana artystka scen stołecznych, siedząca tuż przy podjum, na którym odbywały się pokazy. Bo rzeczywiście każda para pantofelków, pochodząca z salonu wytwornego obuwia Kazimierza Filipczaka (Chmielna 17) budziła powszechny zachwyt swem pięknem wykonaniem, jak i doborem rzadkich skór i materjałów. Firma p. Filipczaka słynie z umiejętnego i szybkiego wykonania wszelkiego obuwia na zamówienie.

Piękne panie zdążyły już zapomnieć o wakacjach, plaży i spacerach z rozwianymi przez wiatr włosami. Troska o efektowne i odpowiednie uczesanie wypływa na plan pierwszy. To też z olbrzymiem zainteresowaniem zebrane panie oglądały wspaniałe fryzury dzieła znanego zakładu fryzjerskiego J. Żłobecki (Senatorska 22). Dyskretne i wytworne uczesania pań biorących udział w rewji stwierdzały prawdziwie artystyczny poziom prac zakładu p. Żłobeckiego, gdzie najbardziej skomplikowane zabiegi fryzjerskie wykonywane są z fachową precyzją.

Pierwszym warunkiem dobrego wyglądu kobiety jest zdrowa, młodzieńcza, kwitnąca cera. To też dziwić się nie należy, że panie starają się z powodzi różnych metod i środków kosmetycznych wybrać wypróbowane już uprzednio i uznane przez cały świat za przodujące. Tradycję taką właśnie posiada słynny uniwersytet piękności „Cedib" w Paryżu, który przeprowadził długotrwałe studja nad stworzeniem kosmetyków, ściśle dostosowanych do niezliczonej ilości rodzajów skóry ludzkiej. Skuteczność i wysoka zdrowotność preparatów „Cedib" zapewniają każdej kobiecie racjonalną i indywidualną pielęgnację twarzy.

Uniwersytet Piękności „Cedib" również w Polsce powołał do życia szereg Instytutów kosmetycznych, gdzie specjaliści służą poradą i pomocą paniom dbającym o swą urodę. Kupon na bezpłatną poradę może otrzymać każda z pań w najbliższej drogerji lub perfumerji.

Dom mód „Goussin Kamińska" (Pierackiego 16a) słynie wśród najbardziej wymagającej klijenteli ze swych artystycznych kreacyj. To też pokaz modeli tej firmy był nieprzerwanem pasmem triumfów. Specjalną uwagę zwróciły prześliczne suknie wieczorowe, z których najbardziej oryginalną podajemy na zdjęciu u dołu. Wielkim powodzeniem cieszyły się również pomysłowe kostjumy i kasaki z futrzanymi kołnierzami, wytworne płaszcze zimowe oraz duża kolekcja sukien popołudniowych o nowoczesnej linji kroju.





ZE SZTUKI I SPORTU

MUZYKA NAD GROBEM



Nad grobem słynnego muzyka cygańskiego, Antala Lajos, na cmentarzu w Budapeszcie, zgromadzili się jego koledzy — skrzypkowie, aby po raz ostatni zagrać mu tęskne cygańskie melodje.

ZAWODY KONNE



W dniu 17 października odbył się w Garwolinie bieg myśliwski św. Huberta. Trasa biegu z 14 przeszkodami w terenie, wynosiła 17 km. Udział w biegu wzięło 69 jeźdźców, w tem 13 amazonek. Mastrował płk. Zakrzewski, lis — por. Sawicki. Zwyciężyła p. M. Bejtówna z klubu sportowego R. W. w Warszawie. Po biegu tradycyjny bigos, a wieczorem bal w kasynie oficerskim pułku.

Z WYSTAWY PARYSKIEJ

Wystawa „Sztuki i Techniki", która otwarta będzie w Paryżu w maju 1937 r. szybko się przygotowuje. Zdjęcie nasze przedstawia chwilę, gdy ambasdaor Włoch, Cerrutti kładzie kamień węgielny pod pawilon Włoch na wystawie.



BARRE LYNDON

ŚWIETNY POMYSŁ

(Nowela)

— Mam świetne pomysły — rzekł i pochylając się nad politurowanem biurkiem, zdjął z głowy zakurzony melonik.

Pan Wertheim drgnął i szybko podniósł oczy. Przygnębiony wyraz jego nalanej twarzy ustąpił miejsca oburzeniu, gdy ogarnął wzrokiem obszarpaną postać.

— Jak pan się tu dostał? — zapytał.

— Bardzo poprostu — wszedłem — odparł i ciągnął dalej: — Czy panby nie chciał, żeby cały Londyn mówił o pańskim pałacu rozrywek, żeby dziesięć tysięcy stało przed nim w dniu otwarcia? Może nawet dwadzieścia tysięcy — dodał wspaniałomyślnie.

Pan Wertheim wyprostował się i wytrzeszczył oczy. Za ścianami wykończonego już gabinetu rozlegał się zgiełk, waliły młotki, lecz on zaczynał już odczuwać przejmujący lęk, że ta cała praca może pójść na marne.

— Czy za to warto zapłacić pięćdziesiąt funtów?

— Warto — przyznał Wertheim.

— Zgódź pan się na pięćdziesiąt, a już zrobione.

— W jaki sposób?

— To nie pańska rzecz.

Zapanowało milczenie.

— Kto pan jesteś? — zapytał Wertheim.

— Nazywają mnie Heniek. Człowiek-pijawka. Przywieram do przedmiotów, jak prawdziwa pijawka.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

* * *

Jak kredowa skała piętrzyła się nad szerokim chodnikiem świeżozbudowana fasada Pałacu Rozrywek. Stroma, gładka, przecięta jednem kolosalnem oknem, wznosiła się aż pod szczyt, z którego na wysokości pięćdziesięciu metrów nad ulicą sterczał drążek na flagę. Żadnej rynny, gzymsu, sztukaterji, nic, coby psuło lśniącą, zrobioną na marmur, pionową płaszczyznę.

Heniek patrzył na tę fasadę. Obok niego zatrzymało się czterech młodzieńców.

Ta połyskliwa ściana tworzyła wejście do pałacu uciech, który miał być dla londyńczyków niezastąpionem miejscem zabaw, jak głosiły słowa prospektu. Było tu wszystko, począwszy od strzelnicy i karuzeli a skończywszy na luksusowem kinie. Na scenie można było zobaczyć wielkopostne misterja, lub walki atletów. Lecz choć do uroczystego otwarcia brakowało już tylko trzech dni czasu, Londyn bardzo mało interesował się swojem „Wesołym Miasteczkiem".

Heniek wskazał palcem na gładką biel po przeciwległej stronie ulicy.

— Wdrapię się na to — rzekł.

Czterej młodzieńcy spojrzeli na niego.

— W sobotę o wpół do trzeciej wdrapię się z chodnika, aż po ten drążek — oznajmił Heniek stanowczo. — Prosto, aż po szczyt.

— To niemożliwe — rzekł jeden ze słuchaczy. Tu niema się czego trzymać.

— To nic nie szkodzi — zapewnił go Heniek.

Czterej młodzieńcy zamienili spojrzenia, poczem przyglądali mu się dalej apatycznie.

— Jestem człowiek - pijawka — objaśniał Heniek. — Dlatego mi się to uda.

— Czy pan już się wspinał na co? — spytał jeden.

— Coby pan powiedział na pochyłą wieżę pizańską — odparł Heniek.

— Wdrapywał się pan na wieżę w Pizie?

— Może pan uwierzyć lub nie, jak się panu podoba — odrzekł Heniek. — A na ten budynek wdrapię się gołemi rękami i bez butów.

Pięć minut później na brunatnym dywanie w gabinecie p. Wertheima stało czterech reporterów.

— Czy pan pozwoli temu Człowiekowi-Pijawce drapać się na swój budynek — pytali?

— Czy on panom o tem mówił? — rzekł, namarszczywszy się p. Wertheim. — Sądzę, że nie powinniśmy mu pozwolić. Nie pojmuję, czego będzie się trzymał.

* * *

Parę wieczornych pism zrobiło o tem wzmiankę. Pewien dziennikarz wydłużył pięć wierszy na pół kolumny, opisując wyczyny rozmaitych much ludzkich. Nazajutrz od rana kilku reporterów robiło wywiad z p. Wertheimem.

— To nie ma nic do mnie — zapewniał ich. — Poprostu zapowiedział, że to zrobi.

— To nie jest reklama?

— Mój kochany panie — zaprotestował Wertheim. — O ile się nie mylę, człowiek ten wdrapywał się już Bóg wie gdzie. Osobiście jestem zdania, że napewno kark skręci. Nie mam pojęcia, gdzie się teraz obraca.

Znaleźli go natychmiast. Melonik położył na chodniku, a sam oglądał bacznie kamienne tafle muru obok wejścia. W głębokiem skupieniu zdjął jeden but i przycisnął palce do płytkiej szparki między dwoma blokami.

Rozległo się pstryknięcie aparatu fotograficznego. Inne aparaty zawtórowały.

Tegoż wieczoru, p. Wertheim przeglądał stos wycinków z gazet. Fotografje ukazywały Heńka ze stopą opartą o fasadę. Bujne wyobraźnie dziennikarskie tłumaczyły jego powściągliwość w odpowiedziach niezwykłą skromnością. Napomykano, że kto wie, czy to nie on właśnie w ubiegłym roku wdrapał się

na szczyt drapacza nieba w Nowym Jorku, a przedtem na wieżę kościelną w Madrycie. Tu i ówdzie rzucały się w oczy duże litery nagłówka z jego przezwiskiem.

Nazajutrz należał do sensacji dnia.

Cały dzień ludzie zatrzymywali się na ulicy i patrzyli. Fotografowie wychylali się poza parapet dachu, narażając życie, aby otrzymać zdjęcie fasady od góry. Inni fotografowali ją pod coraz to innym kątem. Tłumy zwiększały się co chwila w nadziei, że zobaczą Człowieka - Pijawkę, lecz nawet reporterzy nie mogli go odnaleźć.

Wertheim naglił elektrotechników do których należało oświetlenie gmachu reflektorami i tegoż samego wieczoru jaskrawe promienie oświetliły fasadę. W promieniach tych wydała się jeszcze bardziej gładka i lśniąca. Pisma podały fotografje gmachu i wielkie nagłówki o Heńku.

— Gdybym wiedział, gdzie jest, sambym panom powiedział — mówił Wertheim reporterom. — Jeśli mu się zdarzy nieszczęście, ta reklama zaszkodzi tylko mojemu Pałacowi Rozrywek. Jak tylko się pokaże, zaraz dam panom znać.

* * *

Opodal gmachu p. Wertheima, na rogu ulicy, stał gruby posterunkowy. Spoglądał z zachwytem na reflektory i cieszył się, że nie potrzebuje głosu zrywać, wołając na publiczność, aby się rozchodziła. Z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Gruby policjant kiwnął jej głową. — Hallo — rzekł.

— Ale tłum się zebrał — zauważył przybysz.

— W sam raz gratka dla was — tu policjant wetknął dwa grube kciuki za pas. — Gdzieście się podziewali ostatnio? Nie widywałem was.

— Byłem zajęty — odrzekł tamten.— Czy pan widział tego Człowieka - Pijawkę?

— Nie — i gruby policjant dodał z pewną satysfakcją: — Napewno kark skręci.

— Nie powinniśmy na to pozwolić. Założę się, że mu płacą za to, żeby narażał życie. Robią sobie reklamę.

— Hm, rzeczywiście, po takiej gładkiej ścianie nie można się wdrapywać— zauważył policjant, patrząc na oświetloną fasadę.

— Panowie władze powinni go zamknąć do paki. — Na chodniku rozległy się ciężkie kroki. Dzielnicowy zatrzymał się i wtrącił do rozmowy.

— Słusznie pan mówi. Pogadam o tem z inspektorem.

— To napewno ktoś, kto nie ma nic do stracenia — rzekł poważnie obcy.— Ci, co mu za to płacą, nie mają doprawdy sumienia. Dobranoc, panie władza.

— Dobranoc — odparł gruby policjant.

Zbita masa ludzka wypełniała ulicę przed Pałacem Rozrywek. Ulice sąsiednie były zatkane. Ludzie zwisali z okien. Chłopcy powłazili na drzewa i latarnie. Jak wysepki wznosiły się wśród tłumu samochody wytwórni kinematograficznych. Ruch uliczny był zatrzymany w obrębie kilometra kwadratowego.

Podwójny kordon policji stał ramię przy ramieniu. Napierany przez tłum uginał się i falował, chroniąc wejście do gmachu. Dziesięć tysięcy par oczu patrzało na marmurową fasadę, a drugie dziesięć tysięcy spoglądało tylko w tym kierunku, lecz było za daleko, aby widzieć cośkolwiek. W pokrytym dywanem westibulu p. Wertheim stał za jedwabną wstążką, której przecięcie miało otworzyć oficjalnie podwoje budynku. Srebrne nożyczki spoczywały na aksamitnej poduszce. Naokoło stali różni dygnitarze, dyrektorzy, dziennikarze i wszyscy, którym udało się dostać do środka. P. Wertheim przechadzał się tu i tam. Wskazówki zegara doszły do wpół do trzeciej. Rozległ się niecierpliwy szmer z zewnątrz, a w tej samej chwili obszarpana postać wyszła z głębi Pałacu. Pan Wertheim westchnął z ulgą, rozpoznając sunący ku sobie czarny melonik.

— Myślałem, że pan nie przyjdzie...

Heniek rozejrzał się niecierpliwie naokoło, poczem odparł ochrypłym głosem:

— Czy mi aby pozwolą? Doszły mnie słuchy, że policja chce zabronić.

— Nic o tem nie słyszałem — powiedział pan Wertheim i pchnął go naprzód. — Zaczynaj pan zaraz, to nic panu nie zrobią.

Pochyleni przesunęli się pod jedwabną wstęgą. Tłum zahuczał na widok Heńka, a on stał niepewny, zapatrzony.

— Czy nie zdejmiesz pan obuwia? — przypomniał mu Wertheim. Heniek pochylił się i zaczął rozwiązywać sznurowadło. Wzrok jego błyskawicznie przesunął się po szerokim pasie dywanu, poczem ruchy jego nagle nabrały szybkości. Zdjął jeden but i zabrał się do drugiego. — Policja — wołał półgłosem zdyszany — idą mi przeszkodzić. Wstrzymajcie ich, aż ruszę z miejsca.



Zdjęcie drugiego buta sprawiło mu pewną trudność, lecz wreszcie zerwał go z nogi i skoczył ku stromej ścianie. W tej samej chwili wielka łapa chwyciła go za ramię. Gruby policjant groźnie na niego popatrzał.

— Hallo! — rzekł, rozpoznając Heńka.

Inspektor policji kłaniał się panu Wertheimowi.

— Przepraszam pana, lecz nie możemy na to pozwolić.

— Nie może mi pan zabronić — wołał Heniek. — Mam prawo wspinać się, jeśli mi się tak podoba.

— Cicho tam — mruczał policjant, a grube paluchy zacieśniły chwyt.

Tłum pchał się naprzód. Kordon policji zwarł się.

— Zaprowadźcie go do środka — rozkazał inspektor. — Panie Wertheim, nie możemy pozwolić na tę próbę we własnym interesie tego człowieka. To za wielkie ryzyko.

Zabrali Heńka do westibulu. Po chwili przecięto jedwabną wstążkę.

Dla dwudziestu tysięcy ludzi nie pozostało nic innego, jak wejść do środka i przekonać się co było za marmurową fasadą.

* * *

Heniek stał nad politurowanem biurkiem p. Wertheima. Wesoły gwar napływał zewsząd do gabinetu.

— Poproszę o pojedyńcze sztuki — rzekł — i p. Wertheim wyliczył pomięte banknoty funtowe, przyniesione wprost z kas i podsunął mu je.

— Czy pan się właściwie wspinał kiedy po murach, czy nie?

Heniek nie odpowiedział. Popatrzyli na siebie.

— Jaki jest naprawdę pański fach?

— Mój? Maluję reklamy na chodnikach. Nie znoszę dużych wysokości. Odrazu dostaję zawrotu głowy.

przeł. W. P.

ZAKLĘTA KRÓLEWNA

Żyła ongiś królewna, którą zły czarownik porwał i wtrącił do jaskini smoka. Długie lata wyczekiwała tam we łzach pięknego królewicza, któryby ją wyzwolił ze złej mocy.

Po jakimś czasie trzech królewiczów wybrało się w drogę, by uwolnić piękną królewnę. Każdemu z nich stary ojciec królewny podarował miecz. Jednemu dał wielki miecz żelazny, drugiemu — błyszczący miecz srebrny, a trzeciemu — żółty miecz złoty. Aliści już przy pierwszem uderzeniu żelazny miecz pękł na dwoje i syn królewski padł martwy. Wystąpił wówczas drugi królewicz, by pomścić śmierć brata. Lśniący blask srebrnego miecza oślepił na chwilę smoka. Lecz w gorącym oddechu zwierzęcia miecz srebrny stopniał natychmiast jak wosk i również drugi syn króla poniósł śmierć.

Natenczas zbliżył się do smoka trzeci królewicz i z uśmiechem na ustach złożył mu w darze swój złoty miecz.

— Dziękuję pięknie! Sługa uniżony; — rzekł smok uprzejmie i wprowadził królewicza do jaskini.

Królewicz usadowił królewnę na swym białym rumaku i pomknął z nią do kraju rodzinnego, gdzie dziś jeszcze żyją, o ile nie pomarli.

ZAZDROŚĆ

Pewien młodzieniec miał kochankę, o którą był ogromnie zazdrosny. Pewnego dnia powiedział do niej:

— Swemi oczyma zerkasz na wszystkie strony — muszę je wykłuć.

I wykłuł kochance swej oczy.

— Swemi rękoma mogłabyś innych do siebie przywoływać, — mówił dalej.

I odciął dziewczynie obie jej ręce.

— Nogami mogłabyś dotykać czyichś kolan pod stołem — zawołał po chwili opętany szałem zazdrości.

I odciął kochance nogi.

— Omal nie zapomniałem, że potrafisz również mówić — powiedział w jakiś czas potem i odciął swej lubej język.

— Nie ścierpię, byś się do kogoś śmiała! — rzekł do niej znowu i powyrywał jej wszystkie zęby.

— No, teraz jestem już nieco spokojniejszy — powiedział, ściąwszy jej jeszcze na dodatek włosy.

— Coprawda jest teraz potworna, ale przynajmniej moja na zawsze już i niepodzielnie.

I po raz pierwszy w życiu odważył się pozostawić ją samą w domu.

Kiedy wrócił, nie zastał jej.

Uciekła z właścicielem panoptikum.

PROJEKT BUDOWY POMNIKA MIECZYSŁAWA FRENKLA

Czem był Mieczysław Frenkiel przez przeszło czterdzieści lat dla sceny polskiej i jak znakomicie przyczynił się do uświetnienia polskiej kultury teatralnej, mamy żywo w pamięci.

Przebiegając myślą dorobek artystyczny Mieczysława Frenkla, widzimy jeszcze tę galerję postaci które stworzył, te niezapomniane kreacje, w których synteza duszy ludzkiej w jej nieograniczonych przejawach znalazła swe odzwierciedlenie.

Pamięć tego niezapomnianego artysty w nas żyje, a widomym znakiem tej pamięci niech będzie kamień grobowy, który chcemy złożyć na Jego mogile. W celu realizacji tego projektu utworzył się komitet, w skład którego weszli i godność członków Wydziału Wykonawczego przyjąć raczyli: Prezes — p. Szambelan Fr. Karpiński, Wiceprezes — p. Red. K. Olchowicz, Sekretarz — p. Józef Wójcicki.

Upoważnionym do odbioru składek jest Skarbnik Komitetu p. Mecenas Stanisław Jezierski.

Siedziba Komitetu mieści się przy ul. 6 Sierpnia 11 m. 11 u p. Józefa Wójcickiego.

O ŻYCIU I TWÓRCZOŚCI WŁ. ST. REYMONTA

Celem uczczenia 10-tej rocznicy zgonu Wł. St. Reymonta, laureata nagrody Nobla, wyznaczyła Wdowa jako pierwszą nagrodę zł. 2.000, a Zakład Narodowy im. Ossolińskich jako drugą nagrodę zł. 1.000, za najlepsze prace o życiu i całokształcie twórczości Wł. St. Reymonta.

Prace dotychczas nieogłoszone, nie przekraczające 15 arkuszy druku formatu naukowego (63 × 95), składane być mają pod adresem: Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie na ręce Dyr. D-ra L. Bernackiego, *w terminie ostatecznym do 1-go marca 1937* r., pod godłem, z kopertą zaklejoną, która zawierać ma imię i dokładny adres autora pracy.

FREKWENCJA NA POLSKICH SZLAKACH POWIETRZNYCH STALE WZRASTA

Statystyka Polskich Linij Lotniczych wykazuje w ciągu ostatnich miesięcy znaczny wzrost frekwencji.

I tak np. w ciągu sierpnia r. b. frekwencja na niektórych linjach PLL. „LOT" wynosiła ponad 70% nośności samolotu. (np. na linji Warszawa — Lwów 88,6%, na linji Warszawa—Gdynia 83,5%, Gdynia — Warszawa 76,9%, Warszawa — Katowice 72,2%). Przeciętny zaś procent frekwencji na wszystkich polskich szlakach komunikacyjnych wyniósł 61,1.

Jak widzimy, popularność polskiej komunikacji lotniczej stale rośnie, co świadczy najlepiej o tem, że społeczeństwo coraz lepiej zdaje sobie sprawę z korzyści, jakie może osiągnąć w codziennem życiu z samolotów kursujących regularnie na coraz liczniejszych szlakach i skracających czas podróży, przewozu poczty i towarów w sposób fantastyczny.

Z dniem 4 bm. na polskich linjach lotniczych wszedł w życie zimowy rozkład lotów, według którego utrzymany został ruch codzienny między Warszawą a Katowicami, Krakowem, Lwowem, Poznaniem i Berlinem, oraz raz na tydzień między Warszawą a Atenami (via Lwów, Czerniowce, Bukareszt, Sofja, Saloniki).

W okresie zimowym samoloty są ogrzewane, a specjalne urządzenia zapewniają w kajucie pasażerskiej jednostajną temperaturę, dobrą wentylację i ciszę.



Wallace Beery w swoim najlepszym filmie

Jak donoszą z Hollywood, jeden z najlepszych aktorów współczesnego filmu, uwielbiany przez znawców gry aktorskiej, Wallace Beery, zabłysnął w filmie zatytułowanym „BOHATER".

Długotrwałe narady sztabu scenarzystów i operatorów, pod wodzą słynnego reżysera George Marshalla, dały w rezultacie pomyślne wyniki. W Hollywood nastąpiła sensacja: Wallace Beery nie odrzucił z miejsca proponowanego mu scenarjusza, jak to czynił setki razy. Frapujące przeżycia sierżanta Dory, który z narażeniem życia potrafił przedrzeć się poprzez zaporę wrogów, aby uratować honor własnego dowódcy, prawda i prostota przeżyć człowieka, który cierpi, poświęcając się dla wielkiej sprawy, znalazły świetnego odtwórcę.

— Ta rola leżała mi we krwi — oświadczył po premjerze Wallace Beery zebranym dziennikarzom. — Byłem zachwycony scenarjuszem i dlatego zgodziłem się z miejsca objąć trudną rolę bohaterskiego siarżanta.

Obok słynnego tragika występują w filmie „BOHATER" świetna aktorka, słynna piękność — Barbara Stanwyck — oraz doskonały John Boles.

Wielki talent Wallace'a Beery zabłysnął w „BOHATERZE" najmocniej. Akademja Filmowa w Ameryce odznaczyła Wallace'a Beery złotym medalem za najlepszą grę na rok 1936/7. Podstawą oceny była właśnie kreacja Wallace'a Beery w „BOHATERZE".

Film ten wyświetlany jest w reprezentacyjnem kinie stolicy „Światowid".

(N)

ŚWIAT



Niezmiernie ciekawą galerię typów podziwiać będziemy w najnowszym filmie Gary Coopera p. t. „Żółty Skarb". Zdjęcie nasze przedstawia Akima Tamirowa, Dudley'a Diggesa, William'a Frawley'a i innych, którzy obok wykonawców ról głównych przyczynią się niezawodnie do powodzenia obrazu.

Fot. Paramount.

„Świt, dzień i noc" — sfilmowany

Najnowszy film Caroli Lombard dla wytwórni Paramount, nosić będzie tytuł „Świt, dzień i noc". Film ten reżyserować będzie Mitchell Leisen, twórca filmu „Od wieczora do północy". Akcja tego filmu rozgrywać się będzie na Kubie i w Panamie. W tych dniach Mitchell Leisen udaje się już na zdjęcia plenerowe do Hawany i Panamy. Partnerem Caroli Lombard będzie stały jej partner w filmach Paramountu, Fred MacMurray.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

FILMU



Lily Pons i Henry Fonda w filmie „Kobieta zawsze ma rację" wytwórni R. K. O. Radio.

RECENZJE FILMOWE

„Bohater" **Światowid**

Lubię filmy z posmakiem bohaterstwa i egzotyki, o ile są dobrze zrobione, i o ile reżyzer uniknie szczęśliwie nadmiernego, teatralnego patosu.

Takim bezwzględnie udanym obrazem jest wyświetlany obecnie „Bohater". Osią i głównym filarem filmu jest bezsprzecznie utalentowany tragik, Wallace Beery. Do momentu jego ukazania się na ekranie film się „nie liczy".

Wstępne sceny z lalkowatym John Bolesem są wręcz słabe. Tanie bohaterstwo, szablon, banał. Cały wstęp potraktowano po macoszemu, bez szczypty oryginalności, bez jednego lepszego pomysłu. Ukazanie się Wallace'a Beery ożywia obraz. Scenarjusz otrzymuje jędrną zwięzłą budowę. Postać sierżanta Dory staje się kręgosłupem filmu. Bujna to postać!

Sierżant dezerter, oszust i szubrawiec, człowiek bez sumienia i bez jakichkolwiek pierwiastków etycznych, sierżant Dory stacza się na samo dno. W plugawym upadku staje się zbrodniarzem. Szpieg jednej i drugiej strony, zdradza dla nędznego wynagrodzenia zarówno bohaterskich powstańców kubańskich, jak i zaborczych Hiszpanów, handluje bronią i amunicją, zasilając nią obie strony bez najmniejszych wyrzutów.

Postać sprzedajnego zdrajcy została odtworzona z plastyką niemal brutalną.

Nic dziwnego, że przy takim aktorze wysłannik prezydenta U.S.A., por. Rowan (John Boles) i patrjotyczna Kubanka (Barbara Stanwyck) schodzą na drugi plan.

Gra Wallace Beery — bez zarzutu. Sylwetka — mocna, brutalna przekonywująca.

W tych warunkach giną pew-

ne słabsze momenty scenarjusza i reżyserji. Monotonja wędrówki przez lasy i błota z meldunkiem do generała Garcii, zostaje ożywiona bogatą mimiką sympatycznego łajdaka.

Film obfituje w liczne momenty dramatyczne, odtworzone po mistrzowsku. Koroną obrazu są końcowe sceny, przemiana duchowa notorycznego zdrajcy i jego poświęcenie i bohaterstwo.

Nadprogram kreskówka Fleishera „Bohaterskie kurczątko", wznowiona na ogólne żądanie, spotyka się słusznie i nadal z gorącem uznaniem publiczności.

J.

„Cissy" **Colloseum**

W nowoprzebudowanem kinie Colosseum puszczono na pierwszy ogień, jako inauguracyjny program lekką operetkę „Cissy" w reżyserji J. Sternberga.

Temat dość luźno historycznie związany z małżeństwem cesarza Franciszka Józefa potraktowano z dużą dowolnością i zacięciem farsowem. Ściślej właściwie byłoby określić film, jako operetkę widzianą groteskowo przez amerykanina.

Nie wiem, czy nowoczesny amerykanin tak właśnie wyobraża sobie dwór austrjacki XIX wieku, ale dla normalnego europejczyka cała ta farsa wydaje się z nieprawdziwego zdarzenia.

Ale film jest wesoły. Miłe melodje odtwarzane są z werwą i humorem przez wesołą Grace Moore, komiczne sytuacje i farsowe sceny ożywiają akcję niefrasobliwym humorem, charakterystyczne typy przeszarżowane po amerykańsku wywołują wybuchy śmiechu.

Humor ten nie jest coprawda najprzedniejszego gatunku. Daleko mu do bezpretensjonalności i wdzięku filmów francuskich i austrjackich, nie wytrzymuje porównania z subtelną ironją i dowcipną satyrą René Claire'a, ale mimo to bawi.

Wydaje się mimo wszystko, że znakomity Sternberg nie czuje się dobrze na polu operetkowem. Szereg niewyraźnych sytuacyj wywołuje wrażenie, że reżyser, nie mogąc się uporać z clairowską satyrą, wpada w przesadną farsę.

Franchot Tone jako młodociany Franciszek Józef miał dużo miłej nieporadności i niezaprzeczonego wdzięku, ale widzieliśmy wielokrotnie tego aktora w nowoczesnych rolach i stwierdzamy, że jest mu z tem bardziej do twarzy.

Nadprogram idzie dodatek Pata, banalna kreskówka Columbji i zupełnie nienadający się do kina dodatek polski Dromlewiczowej i Biskego — wycieczka do Muzeum Narodowego. Propaganda i popularyzowanie tej zasłużonej instytucji w tej formie wydaje rezultaty wręcz ujemne.

J.



Greta Gordon występuje w dancingu Paradis

WOŁANIA O SZKOŁĘ POLSKĄ

Nieustannie napływają do Zarządu Centralnego Polskiej Macierzy Szkolnej w Wilnie gorące prośby mieszkańców licznych wsi kresowych o uruchomienie szkoły i udostępnienie nauki dzieciom, które z powodu specyficznych warunków terenowych nie mogą korzystać z publicznych szkół powszechnych.

Są tu często miejscowości, które od początku odrodzenia państwowości polskiej nie miały szkoły polskiej.

Polska Macierz Szkolna prowadzi na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie kilkadziesiąt szkół powszechnych, nie zaspakajają one jednak nawet w minimalnym stopniu potrzeb miejscowej ludności. Wszystkim napływającym prośbom P. M. S. uczynić zadość nie jest w stanie, ponieważ rozporządza ściśle ograniczonemi funduszami. Czyż nie znajdzie się jednostka, lub grupa osób, któreby wspólnemi siłami podjęły ofiarny i pełen obywatelskiego zrozumienia czyn — utrzymania jednej szkoły na Kresach, pomnąc, że każdy nauczyciel — to jedyny na wsi inteligent - Polak, a każda szkoła — to bastjon polskości.

Gminy chętnie dostarczają szkołom mieszkania, opału i światła, chodzi jedynie o 100 zł. miesięcznie, tyle bowiem wynosi koszt utrzymania jednej szkoły.

Wyczerpujących informacyj udziela Centralny Zarząd Polskiej Macierzy Szkolnej w Wilnie ul. Wileńska 23 — konto czekowe P. K. O. Nr. 80630.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa